

Bp Ignacy TOKARCZUK

ZADANIA DUSZPASTERSKIE KOŚCIOŁA POLSKIEGO

Jeśli już musimy wybierać, komu przede wszystkim mamy służyć, to w świetle Ewangelii nie ulega wątpliwości, że powinniśmy być jak najbliżej tych, których życie jest najtrudniejsze, najbardziej skomplikowane, którzy są najbardziej wyzyskiwani.

Kościół jest tajemnicą i w zależności od obranej perspektywy analiz różne aspekty tej tajemnicy okazują się pierwszoplanowe. W poniższych rozważaniach Kościół pojmować będę nade wszystko jako wspólnotę: wspólnotę duchownych i świeckich. Uwagę swą skupię przy tym – zgodnie z zasugerowanym mi tytułem wykładu – głównie na tych zadaniach duszpasterskich, które stawia przed Kościołem encyklika *Sollicitudo rei socialis* (SRS). Encyklika ta stanowi jakby podsumowanie całego powojennego (zwłaszcza posoborowego) społecznego nauczania Kościoła i ukazuje globalną perspektywę rozwoju ludzkości w kontekście jej współczesnych trudności i szans. Tu jednak spróbuję wydobyć z bogactwa encykliki tylko niektóre jej wskazania: te mianowicie, które odnoszą się do – w moim mniemaniu szczególnie ważnych – problemów Kościoła w Polsce.

1. MIEJSCE KATOLICKIEJ NAUKI SPOŁECZNEJ W TEOLOGII MORALNEJ

W dotychczasowym naszym duszpasterstwie zauważyć można niepokojący brak równowagi pomiędzy – nazwijmy to tak – „wertykalnym” a „horyzontalnym” wymiarem ewangelizacji, na niekorzyść tego ostatniego. Wezwaniu do osobistej świętości, zjednoczenia z Bogiem przez Chrystusa, nie towarzyszy równie częsta i gorliwa zachęta do poznania i respektowania doktryny Kościoła wskazującej, jaką drogą chrześcijanie winni społecznie dążyć do Domu Ojca, rozwiązując trudne problemy, jakie stawia przed nimi świat. A Kościół ma w tej dziedzinie wiele do powiedzenia i głosi swą naukę nawiązując do aktualnej sytuacji świata; aktualnej także dla nas, Polaków. Zwróćmy w tym kontekście uwagę na słowa encykliki, które trzeba nam odczytać jako szczególne wezwanie, a może i upomnienie: „Nauka społeczna Kościoła nie jest jakąś «trzecią drogą» między liberalnym kapitalizmem i marksistowskim kolektywizmem, ani jakąś możliwą alternatywą innych, nie tak radykalnie przeciwstawnych wobec siebie rozwiązań: stanowi ona kategorię niezależną. Nie jest także ideologią, lecz dokładnym sformułowaniem wyników pogłębionej refleksji nad złożoną rzeczywistością ludzkiej egzysten-

cji w społeczeństwie i w kontekście międzynarodowym, przeprowadzonym w świetle wiary i tradycji kościelnej. Jej podstawowym celem jest wyjaśnianie tej rzeczywistości poprzez badanie jej zgodności czy niezgodności z nauką Ewangelii o człowieku i jego powołaniu doczesnym, a zarazem transcendentnym; zmierza zatem do ukierunkowania chrześcijańskiego postępowania. Nauka ta należy przeto nie do dziedziny ideologii, lecz do teologii, zwłaszcza teologii moralnej” (SRS, 41).

W Polsce nietrudno zauważyć głęboki niedorozwój ekonomiczny. Jedną z jego przyczyn jest spowodowany ustrojem brak wolności. Ale jest i drugi, na który nie zwraca się dostatecznej uwagi: jest nim mianowicie swoisty spirytualizm, polegający na niedocenianiu spraw doczesnych, społecznych, które mają przecież ogromne znaczenie dla duszpasterstwa i jego ponadczasnych celów. Niektórzy duszpasterze uważają, że właśnie z racji transcendentnego charakteru tych celów powinni unikać zajmowania się problematyką ekonomiczną i skoncentrować się na głoszeniu Ewangelii. Jest to jakaś pozostałość po czasach stalinowskich, kiedy taką właśnie wizję ewangelizacji próbowano Kościołowi w Polsce narzucić. Czasy stalinowskie należą podobno do przeszłości, a to zniekształcone rozumienie ewangelizacji powtarza się nam często, ostatnio szczególnie natarczywie w okresie stanu wojennego. I pokutuje ono po dziś dzień u wielu skądinąd gorliwych duszpasterzy. Tymczasem w encyklice czytamy: „Kościół dobrze wie, że żadne doczesne dokonania nie utożsamiają się z królestwem Bożym i że wszystkie dokonania są niczym innym, aniżeli odblaskiem i poniekąd antycypacją chwały królestwa, którego oczekujemy na końcu dziejów, «gdy Pan wróci». Oczekiwanie jednak nigdy nie może być dla człowieka usprawiedliwieniem postawy obojętności wobec konkretnych sytuacji osobistych, życia społecznego, narodowego i międzynarodowego, które – zwłaszcza dzisiaj – wzajemnie się warunkują” (SRS, 48).

Tak więc zajmowanie się sprawami doczesnymi, społeczno-ekonomicznymi bynajmniej nie stoi w sprzeczności z ostatecznym celem ludzkiego życia ani z zadaniami duszpasterzy. Encyklika precyzyjnie pokazuje miejsce tej problematyki w całej misji ewangelizacyjnej Kościoła i niejako dopomina się o wspomnianą równowagę pomiędzy jej „horyzontalnym” i „wertykalnym” aspektem. Brak nam, duszpasterzom, wrażliwości na sprawy ekonomiczno-społeczne. Zbyt łatwo ograniczamy dziedzinę moralności do sfery indywidualnej, w szczególności do zagadnień związanych z szóstym przykazaniem. Owszem, jest to dziedzina ważna, nie zachęcam bynajmniej do tego, by ją lekceważyć. Chodzi mi jednak o dowartościowanie także innych przykazań, a zwłaszcza podstawowego przykazania miłości Boga i bliźniego – a to ostatnie nie sposób zachowywać bez wrażliwości na sprawy społeczne. Zapomina się czasem, że katolicka nauka społeczna to nie kwestia mody, zmiennej koniunktury ekonomiczno-społecznej, w kontekście której niekiedy wzrasta jej znaczenie, kiedy indziej zaś maleje. Jest to integralny element

całej teologii moralnej, zawsze aktualny i ważny, podobnie jak etyka rodzinna czy indywidualna.

Ważne jest przy tym, by rozwijać i głosić społeczną doktrynę Kościoła w jej wymiarze teoretycznym, ponieważ tylko z dobrej teorii wyrastać może dobra praktyka. A w tej doktrynie, w chrześcijańskiej filozofii, nade wszystko zaś w Ewangelii, stale przypominana jest ta podstawowa prawda, że *omne ens est bonum*, wszelkie bowiem dobro pochodzi od dobrego Boga-Stwórcy. Rzecz w tym, by uchwycić właściwą hierarchię tych dóbr. Z pewnością nie jest z nią zgodne nadmierne wywyższanie dóbr ekonomicznych i tylko w ich perspektywie rozwiązywanie problemów społecznych. Ale sprzeciwia się tej hierarchii również ich pomijanie, pomniejszanie ich znaczenia dla człowieka w jego drodze do świętości.

2. KOŚCIÓŁ A POLITYKA

Ten problem wyrasta bezpośrednio z poprzedniego. Nasi ideowi przeciwnicy chcą, jak wiadomo, odebrać nam prawo wypowiedania się w kwestiach politycznych i robią wszystko, by nas niejako zamknąć w zakrystii. Twierdzą, że zajmując się tymi zagadnieniami odchodzimy od właściwych sobie zadań, że pomiędzy polityką a moralnością nie ma w istocie punktów stycznych. Czasem sugerują też, że dziedzina polityki to z konieczności dziedzina zła i nie godzi się, by chrześcijanie się w nią angażowali. Tymczasem nie tylko w encyklice *Sollicitudo rei socialis*, ale i w niedawno ogłoszonej adhortacji *Christifideles laici* [...] *O powołaniu i misji świeckich w Kościele*, Papież podkreśla, że „świeccy nie mogą rezygnować z udziału w «polityce», [...] która w sposób organiczny służy wzrastaniu wspólnego dobra; [...] prawo i obowiązek uczestniczenia w polityce dotyczy wszystkich i każdego; formy tego udziału, płaszczyzny, na jakich się on dokonuje, zadania i odpowiedzialność mogą być bardzo różne i wzajemnie się uzupełniać. Ani oskarżenia o karierowiczostwo, o kult władzy, o egoizm i korupcję, które nierzadko są kierowane pod adresem ludzi wchodzących w skład rządu, parlamentu, klasy panującej czy partii politycznej, ani dość rozpowszechniony pogląd, że polityka musi być terenem moralnego zagrożenia, bynajmniej nie usprawiedliwiają sceptycyzmu i nieobecności chrześcijan w sprawach publicznych” (*Christifideles laici*, 42).

Tak więc zaangażowanie w sprawy polityczne to coś więcej, niż upodobanie bądź przywilej niektórych jednostek lub grup społecznych. Polityka decyduje o losach poszczególnych ludzi i całych narodów, nie można więc jej zostawić przypadkowym ludziom czy przypadkowym systemom. Zaangażowanie polityczne jest obowiązkiem chrześcijan, którzy mają przyczyniać się do wzrostu sprawiedliwości i umacniania pokoju w świecie. Należy wystrzegać się nie tylko złej, sprzecznej z Ewangelią działalności politycznej; szkodliwa i niechrześcijańska jest także bierność. Pewien polityk niemiecki

powiedział niedawno, z okazji rocznicy pierwszych antyżydowskich zajęć w III Rzeszy, że odpowiedzialni za nie są wszyscy Niemcy: nie tylko ci, którzy dopuszczali się gwałtów na Żydach, ale także ci, którzy swą bierną postawą im na to pozwalali. Terrorysty i totalitaryści twierdzą, że wystarczy im pięciu zwolenników przy bierności całego społeczeństwa, by mogli z nim zrobić wszystko. Chrześcijanom nie wolno na to pozwolić, choć oczywiście muszą oni angażować się w sprawy polityczne zgodnie ze swym chrześcijańskim sumieniem, respektując Dekalog i zasadę dobra wspólnego.

Udział Kościoła w życiu publicznym jest powodem wielu nieporozumień, także wśród duchowieństwa. Łatwo godzimy się na to, by nas wykluczono z troski o wspólne społeczne dobro i nawet nie spostrzegamy, jak nas totalitarny system władzy wciąga w swoją polityczną propagandę. Bodaj trzy lata temu zobaczyłem w kalendarzu liturgicznym jednej z diecezji, że pod datą 22 lipca napisano „Święto wyzwolenia”. Jeśli już, to należało raczej napisać „Święto zniewolenia”...

Oczywiście, aktywność polityczną różnie można pojmować. Nieco rzecz upraszczając, można wyróżnić dwa podstawowe jej znaczenia: szersze i węższe. W znaczeniu szerszym politycznymi są wszelkie działania wpływające z poczucia odpowiedzialności za życie społeczne, zmierzające do tego, by w całym świecie – a zwłaszcza w ojczystym domu – było poszanowane prawo i godność człowieka. W sensie węższym działalność polityczna to ta, którą zajmują się partie i stronnictwa polityczne, a także inne grupy społeczne oddziałujące celowo na polityczną strukturę życia społecznego. Gdy chodzi o duchowieństwo, to wiemy (zwłaszcza po doświadczeniach sięgających końca lat czterdziestych), że jego aktywność polityczna w sensie węższym bynajmniej nie przysparzała dobra ani Kościołowi, ani społeczeństwu. Angażując się po stronie jednej partii czy stronnictwa, siłą rzeczy oddalało od siebie tych, którym ideologia i program tej partii były obce. A my jesteśmy posłani do wszystkich, bo Bóg wszystkich chce zbawić. Dlatego dziedziną zaangażowania duchowieństwa jest polityka w sensie szerszym: działanie na rzecz sprawiedliwości, wolności, godności człowieka, popieranie uczciwości, rzetelności, właściwie rozumianego postępu. Politykę w sensie węższym zostawić natomiast należy świeckim chrześcijanom. To do nich odnosi się przypomniany wyżej fragment adhortacji *Christifideles laici*, oni powinni wyzbyć się bierności, która mieści się w kategorii peccata omissionis (grzechów zaniedbania). A grzechy z tej dziedziny mogą mieć nieraz poważniejszy ciężar, niż grzeszne uczynki.

Jeśli już musimy wybierać, komu przede wszystkim mamy służyć, to w świetle Ewangelii nie ulega wątpliwości, że powinniśmy być jak najbliżej tych, których życie jest najtrudniejsze, najbardziej skomplikowane, którzy są najbardziej wyzyskiwani. W Polsce – jak i w całym bloku, do którego mamy nieszczęście należeć – wiadomo, kto jest najbardziej wyzyskiwany, czyje życie jest najtrudniejsze. Praktycznie biorąc, jest to zdecydowana wię-

kszość społeczeństwa. Próba usprawiedliwiania się z braku zaangażowania na ich rzecz, w imię rzekomego głoszenia czystej Ewangelii, jest oszukiwaniem samych siebie i faktyczną jej zdradą. Ewangelię możemy bowiem porównać do słońca oświecającego całą ziemię: wszystkie problemy ekonomiczne, polityczne, społeczne, gospodarcze; wszystko, co leży w zakresie działania człowieka. Unikanie promieni tego słońca jest fałszowaniem rzeczywistości, której odbiera się tak jej potrzebne ewangeliczne światło, nie zaś tytułem do „pobożnościowej chwały”. Ważnym i pilnym zadaniem Kościoła w Polsce, w tym także (a może nawet zwłaszcza) duchownych, jest zajmowanie się polityką we wspomnianym szerokim jej znaczeniu.

Zarzucano mi kiedyś, że zajmuję się polityką. Odpowiedziałem, że jest to mój obowiązek. Powiadano, że na sto moich kazań, dziewięćdziesiąt to kazania polityczne. Chciano mnie odciąć od życia i zamknąć w zakrystii. Nie dostrzegano, że tym, co mnie do głoszenia tych dziewięćdziesięciu kazań pobudzało i kryterium właściwego naświetlania spraw politycznych, była właśnie Ewangelia.

Oczywiście, mówiąc o polityce musimy być bardzo dojrzały. Pamiętać trzeba, że w 1982 roku ruch „Solidarność” nie miał jeszcze skryształizowanych dążeń zawodowych, politycznych itp., ale wszystkie siły dążące do lepszej przyszłości skupiały się wokół niego. Dziś, po ośmiu latach, sytuacja jest inna. Dziś organizują się grupy polityczne, powstają stronnictwa, partie, są załączki gry politycznej. To jest normalny rozwój życia politycznego. Musimy być przygotowani do przejścia także tego etapu i podejść rzetelnie, po chrześcijańsku do całego tego procesu. Trzeba się dobrze zastanowić, czy jest sens odnawiać przedwojenne stronnictwa polityczne. Wtedy były inne warunki społeczne, inny klimat ideologiczny, funkcjonowały inne struktury społeczne. Coś się przecież przez ostatnie pół wieku zmieniło, w Polsce i w świecie. Czy nie zachodzi raczej potrzeba tworzenia nowych stronnictw, opartych nie na strukturze klasowej (jak to nazywają marksiści), ale na wartościach i dążeniach ogólnonarodowych? Wiele ruchów nawiązuje dziś do dawnych tradycji, niektóre deklarują przychylność wobec Kościoła, ciągle podkreślają swój „katolicki” charakter.

Szczerze mówiąc, boję się ich bardziej, niż innych. Dlaczego? Bo już przed wojną były pewne ruchy, które deklarowały się jako arcykatolickie i jednocześnie nawiązywały do tradycji narodowych. Tymczasem u podstaw tych orientacji były pierwiastki, które z katolicyzmem nic nie miały wspólnego. Nie chcę wymieniać teoretyków tego stronnictwa, ale w ich dziełach odczytać można i taką tezę, że etyka chrześcijańska jest wprawdzie bardzo piękna, ma jednak zastosowanie tylko do życia indywidualnego, nie zaś społecznego, gdzie panuje i musi panować prawo siły. Tezie tej towarzyszył przy tym nierzadko narodowy egoizm, rozwijany do rozmiarów nacjonalistycznej, szowinistycznej ideologii. W imię tego nacjonalizmu skazywano całe społeczeństwa na zagładę; najdrastyczniejszym tego przykładem był antysemityzm.

Nie trzeba tu chyba nikomu tłumaczyć, że jest to ideologia z gruntu nie-ewangeliczna. Owszem, patriotyzm rozumiany po chrześcijańsku wyraża się w staraniu o to, by wartości narodowe rozwijały się jak najpełniej, ale jest przy tym otwarty na wszelkie wartości; także te, które właściwe są innym narodom. Pragnie się nimi ubogacić, ceni je u innych. Patriotą nie jest ten, kto buduje swą narodową tożsamość na wrogości wobec innych, nieufności, poczuciu zagrożenia z ich strony; kto stara się zniszczyć „cudzą” kulturę, dewastuje „cudze” zabytki, pali biblioteki. Prawdziwy patriota to ten, kto kocha swój naród i ta miłość pomaga mu kochać i cenić przedstawicieli innych nacji, korzystać z ich doświadczeń.

Wielu dobrych katolików i duchownych dało się zwieść katolickimi hasłami i wciągnąć w tę – koniec końców bardzo szkodliwą dla nich, a pośrednio dla całego Kościoła – grę. Trzeba dziś o tym pamiętać, gdy odnawia się szereg dawnych stronnictw. Nie chcę zbyt surowo oceniać przedwojennych doświadczeń, nie możemy stosować dzisiejszej miary do przeszłej rzeczywistości; każde pokolenie na nowo czerpie z przebogatego skarbcza Ewangelii. Byłbym jednak przeciwny nadawaniu dziś jakimkolwiek ruchom polityczno-społecznym szyldów w rodzaju „katolicki” czy „kościelny”. Niech nazywają się jak najprościej, ale niech będą z ducha chrześcijańskie, niech dobrze służą bonum commune. Silnie akcentowana katolickość jakiegoś politycznego ruchu dzieli Kościół, a ponadto grozi popadnięciem w jakąś odmianę teokracji. A każda teokracja, prędzej czy później, kompromituje Pana Boga. Rzecz raczej w tym, by powstające ruchy polityczne nasycić elementami chrześcijańskimi, katolicką nauką społeczną. To właśnie jest szczególnie ważnym i pilnym zadaniem dla Kościoła w Polsce.

3. OPCJA NA RZECZ UBOGICH

Czym jest ta „opcja”? Jest to – jak mówi encyklika – „miłość preferencyjna na rzecz ubogich [...] specjalna forma pierwszeństwa w praktykowaniu miłości chrześcijańskiej, poświadczona przez całą Tradycję Kościoła. Odnosi się ona do życia każdego chrześcijanina, które ma być naśladowaniem życia Chrystusa, ale stosuje się również do naszej społecznej odpowiedzialności, a zatem do stylu naszego życia, do decyzji, które trzeba stosownie podejmować w odniesieniu do własności i użytkowania dóbr” (SRS, 42).

I dalej Papież mówi: „Rzeczywistość ta musi wyciskać swój ślad na naszym codziennym życiu, jak również na naszych decyzjach w zakresie polityki czy gospodarki. Podobnie ludzie odpowiedzialni za narody i za Instytucje międzynarodowe, którzy w swoich planach powinni uwzględniać w pierwszym rzędzie prawdziwy wymiar ludzki, nie mogą zapominać o dawaniu pierwszeństwa zjawisku rosnącego ubóstwa” (SRS, 42).

Trzeba w związku z tym przypomnieć podstawy chrześcijańskiej doktryny na temat własności. Zawiera ona niezmiernie ważne rozróżnienie pomię-

dzy *possessio a usus*: posiadaniem a używaniem. Stosunek do obu tych pojęć dobrze pokazuje specyfikę katolickiej nauki społecznej wobec innych teorii społeczno-ekonomicznych. Ujmując rzecz w największym skrócie, chrześcijaństwo uznaje posiadanie prywatne, ale użycie wspólne (*possessio privata sed usus communis*). Komunizm w swej postaci skrajnej dopuszczał jedynie wspólne posiadanie i wspólne użycie dóbr (i jest to pogląd konsekwentny wobec fundamentalnych założeń komunizmu). Kapitalizm broni koncepcji dokładnie przeciwnej: zarówno prywatnej własności, jak i prawa do prywatnego jej użytkowania. Wreszcie złagodzony socjalizm, który można odnaleźć w różnych formach socjaldemokracji, skłania się do tezy o zbiorowym posiadaniu dóbr, ale prywatnym ich (zwłaszcza środków wytwórczych) użytkowaniu.

Tak więc Kościół opowiada się za własnością prywatną. Zarzuca mu się nieraz, że czyni to zbyt stanowczo i uparcie. Ale Kościół nie broni każdej formy tej własności; niektóre z nich są dziś zresztą przestarzałe, inne niesprawiedliwe. Broni podstaw instytucji własności, a jego rację potwierdza doświadczenie historyczne, niekiedy bardzo kosztowne i bolesne. Doświadczenie siedemdziesięciu lat bodaj największego eksperymentu socjologicznego, jakim była Rewolucja Październikowa, pokazuje, jak trudno zlikwidować własność prywatną, jak różne formy może ona przybierać, a jednocześnie – jak niezbędnym jest ona warunkiem gospodarczego rozwoju. Próba podważenia tego warunku przynosi efekty, które znamy aż nadto dobrze. Nie znaczy to, że całe życie gospodarcze ma być sprowadzone do kategorii własności prywatnej. Ale jeśli dobra mają być sprawiedliwie podzielone, jeśli społeczność ma być zdolna wspomóc nimi najbiedniejszych, to trzeba najpierw dobra te wytworzyć, trzeba pobudzać człowieka do ich wytwarzania, a nie podcinać żywotnych motywów jego twórczej pracowitości. Kościół zna i szanuje ludzką naturę: wie, że człowiek pracuje chętnie i owocnie „na swoim”. Rolnik czy przedsiębiorca w swoim własnym przedsiębiorstwie nie patrzy na zegarek. Gdy trzeba, pracuje ponad zaplanowany czas, wkłada w swą pracę całego siebie, wszystkie swe zdolności i siły, bo wie, że tylko tą drogą zdoła coś stworzyć, a jednocześnie zapewnić sobie godziwą korzyść. Jak powiedziałem, formy własności mogą być różne, dziś inne niż dawniej: np. posiadanie akcji przedsiębiorstwa też jest jedną z form takiej własności.

Dlaczego jednak użytkowanie dóbr ma być wspólne? Wynika to stąd, że bogactwo świata zostało przez Stwórcę dane wszystkim ludziom. To także, nie tylko uprawnienie do posiadania własności prywatnej, należy do prawa naturalnego. Własność prywatna jest więc obciążona hipoteką społeczną, określona moralną odpowiedzialnością. Począwszy od Ojców Kościoła teologia głosi – idąc w tym zresztą właśnie za prawem naturalnym – że *in extrema necessitate omnia bona sunt communia*. Dlatego np. w przypadku konieczności ratowania życia – swojego lub czyjegoś – każdy ma prawo używania dóbr mu dostępnych, niezależnie od tego, czyją są prywatną własnością.

Gdy więc kołchoźnik zbierał w nocy plony na zagrabionym mu polu, to nie kradł, lecz ratował swe życie.

Oczywiście, sytuacja taka łatwo może prowadzić do nadużyć, do zaturbowania ładności społecznej, przekroczenia granic sprawiedliwości. Takie jest jednak podstawowe prawo: dobra tego świata należą do wszystkich ludzi. Zaś ustrój społeczny tym jest lepszy, im lepsze stwarza warunki do realizacji tego prawa, im więcej ludzi może z tych dóbr korzystać i im mniejsza jest różnica pomiędzy poszczególnymi ludźmi, grupami społecznymi czy narodami, w stopniu ich konsumpcji.

Socjalizm wpoił w nas zasadę egalitaryzmu, którym tak się szczycił. Ale ten egalitaryzm trzeba dobrze rozumieć. Słuszną jest rzeczą stwarzanie możliwie równych szans wszystkim u progu ich życia, także społecznego. Nie należy nikomu zamykać drogi rozwoju. Ale różni ludzie w różnym stopniu ze swej szansy korzystają. I jeśli przez egalitaryzm rozumie się nieustanne „równanie w dół”, obdzielanie „równo” wszystkich dobrami, niezależnie od osobistego wkładu pracy poszczególnych ludzi, to oznacza w praktyce promocję nierobów, pracowników nieuczciwych, społecznych pasożytów.

Naszą troską winno być stwarzanie szans rozwoju, także bogacenia się, dla każdego uczciwego człowieka, który chce pracować. Trzeba nam wyciągnąć wnioski z tej lekcji, jaką dała rewolucja z 1917 roku i powrócić do nauki społecznej Kościoła, której lekceważenie przyniosło już tyle zła, potwierdzając jednocześnie – na zasadzie *per opposita cognoscitur* – jej głęboką mądrość. Szczególna troska należy się tym, których życie jest najtrudniejsze. Im przede wszystkim trzeba ułatwić start, pomóc im dźwignąć się z ekonomicznego „dołka”, w którym się znaleźli niekoniecznie wskutek własnego niedbalstwa. Tu właśnie przypomnieć należy opcję na rzecz ubogich, spychanych w dół, wyzyskiwanych, deprawowanych. Nikogo nie wykluczając z kręgu miłości, chrześcijanin musi szczególnie wiele ofiarnej życzliwości okazać tym, których życie jest najtrudniejsze, najbardziej skomplikowane.

Nędza bowiem, ubóstwo przymusowe, deprawuje człowieka. Owszem, historia zna jednostki heroiczne, które potrafiły wytrzymać wielkie próby ich prawości i dać świadectwo mocy Bożej w człowieku, potężniejszej niż wszelka nieprawość. Ale nie wszystkich stać na takie bohaterstwo i nie trzeba zbyt pośpiesznie i surowo oceniać tych, którzy ciężkiej próby losu nie wytrzymali. Kiedy człowiek musi poświęcać całą swą energię na walkę o byt, o utrzymanie elementarnych warunków egzystencji dla siebie i dla swych najbliższych; kiedy nie ma czasu ani sił na sprawy duchowe – to trudno się dziwić, że łatwiejszy dostęp ma do niego pokusa myślenia tylko o sobie, oszukiwania i okradania innych, często podobnie jak on żyjących w nędzy; pokusa nienawiści, poniżenia się aż do samoupodlenia – byle jakoś przeżyć.

Pamiętam czasy ostatniej wojny. Już w 1940 roku przychodziły pierwsze wiadomości z niemieckich obozów, karnych i wojskowych, potem pojawiła się literatura na ten temat, z czasem wcale bogata. Ukazywała ona ludzi,

którzy przed wojną, w normalnych warunkach byli spokojni, uczciwi, w swej pracy rzetelni, życzliwie nastawieni do innych. Postawieni jednak w warunkach walki o przetrwanie schodzili do poziomu zachowań skrajnie niemoralnych. Bodaj w „Tygodniku Powszechnym”, zaraz po wojnie, ukazał się artykuł opowiadający o chłopcu, który podkradał innym chleb. Złapawszy go kiedyś na gorącym uczynku, autor artykułu strasznie go zwymyślał. Chłopak już tego więcej nie robił, ale też obozu nie przetrwał. Zmarł. Okradany przez niego natomiast przeżył – i teraz pisał z żalem, z wyrzutami sumienia, że nie potrafił zdobyć się na więcej wyrozumiałości. Życie trudne deprawuje. Obóz wszystkich pchał w dół.

Pamiętam też jak jeszcze we Lwowie, w czasie repatriacji, chodziłem przybity, bo trzeba przecież było opuścić rodzinne strony, zabrano nam wszystko. I wtedy próbował pocieszyć mnie pewien Amerykanin. Pocieszyć i pouczyć: „Wy nie umiecie żyć z Rosjanami. Nauczcie się, my wam pomożemy”. Zresztą nieraz spotykałem się po wojnie z tą naganą i ofertą pomocy. Wtedy odpowiadałem: „Proszę Pana, nie udawajcie dobroczyńców. Oddaliście bez skrępowań sto milionów ludzi w niewolę, a teraz chcecie jakimiś łachami, paczkami z żywnością, uspokoić swoje sumienia. My byśmy to sobie sami wypracowali. Miejcie poczucie odpowiedzialności za to, co zrobiliście. Chcecie nas z daleka uczyć współżycia z Rosjanami i chwalicie się wyższością waszej kultury, waszym dobrobytem. Macie pod bokiem Kubę; czemu nie uczycie się z nią współżyć?” Łatwo innym radzić. Trzeba się strzec takich łatwych i fałszywych postaw pseudopomocy.

Przejdźmy jednak do problemów polskich. Nie ma dziś u nas, Bogu dziękować, sytuacji tak skrajnie trudnej, jak w obozie niemieckim w czasie II wojny światowej, ale coś z tamtego świata w obecnej totalitarnej rzeczywistości przecież pozostało. Pozostała między innymi nieuczciwość. Czytamy ciągle alarmujące sprawozdania, że katolicy, stanowiący tak przygniatającą większość polskiego społeczeństwa, tak nieuczciwie pracują. Ale kto zna z historii przypadek, by niewolnik rzetelnie i z oddaniem pracował dla tego, kto go ograbił i uczynił swym niewolnikiem? Gdy robotnik widzi, że jego wyzysk nie wynika tylko z chaosu, ale jest systemowo zaprogramowany, to z pewnością nie będzie dobrze pracował. Kierujący gospodarką też przecież nie są tak naiwni, by nie wiedzieli, jak usunąć marnotrawstwo i rozsądniej urządzić życie gospodarcze, ale są ograniczeni względami ideologicznymi. Tymczasem realny socjalizm wyklucza szansę osiągnięcia dobrobytu. Dobrobyt bowiem poszerza zakres wolności, a system socjalistyczny właśnie wolności szczególnie się boi i dąży do utrwalenia władzy „klasy panującej”. Dlatego to, co się dzieje w naszych fabrykach, to nie tylko wina braku organizacji i nie tylko obraz osobistej nieuczciwości robotników. Ten naród ma zmysł społeczny i dostateczne zasoby uczciwości, gdy tylko pozwoli mu się realizować własne przedsięwzięcia, choć z drugiej strony nie należy lekceważyć spustoszenia moralnego, jakie w nas wszystkich totalitarny socjalizm po-

woduje. Ale tym bardziej trzeba najuboższym w Polsce okazać troskę, pomóc im znosić biedę materialną i chronić przed powiększeniem jej o biedę duchową.

Istnieje również przeciwne niebezpieczeństwo, związane z nadmiarem bogactwa. Nadmiar dóbr rodzi postawę konsumpcyjną i moralny permissywizm, jak to obserwujemy na Zachodzie. W Polsce, obok biedy, o której mówiłem wcześniej, obserwuje się także pęd do nadrobienia ekonomicznych zaniedbań, do szybkiego wzbogacenia się. Łatwo wpaść w koleiny drapieżnego kapitalizmu, uzależniającego wartość człowieka od jego bogactwa.

Wspomnijmy na koniec o jeszcze jednym aspekcie ubóstwa, aspekcie par excellence ewangelicznym i dlatego najgłębszym, naświetlającym problemy, o których mówiłem dotąd. Chodzi o ubóstwo ewangeliczne, inspirowane wartościami duchowymi, różne od – zawinionej lub nie – nędzy z przymusu. Ewangeliczne ubóstwo to nie tylko rada, za którą idą zakonnice i zakonnicy. Pociąga ona za sobą określone wymagania także od kapitalisty, od posiadacza pragnącego pozostać jednak chrześcijaninem. Nie jest on wolny od obowiązku ubóstwa duchowego, co w praktyce oznacza między innymi to, że kapitalista winien gospodarować swą własnością w poczuciu społecznej odpowiedzialności, w przekonaniu, że jest jedynie użytkownikiem dóbr, za pomocą których należy czynić dobro, przewyciężając egoizm zarówno indywidualny, jak i grupowy. W tym duchu trzeba nam, duszpasterzom, wychowywać wiernych w Kościele. Trzeba wracać do słów Chrystusa: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie” (Mt 5, 3), i ukazywać wszystkim wyzwalającą moc tych słów. W sytuacji ekonomiczno-politycznego przełomu, jaki przeżywamy, głoszenie ewangelicznego, duchowego i dobrowolnego ubóstwa, stanowi ważne duszpasterskie zadanie.

*

Encyklika *Sollicitudo rei socialis* jest wielkim programem tworzenia nowej kultury, nowej cywilizacji we współczesnym świecie, cywilizacji miłości. Nam, Polakom, dokument ten jest szczególnie potrzebny jako pozytywne dopełnienie doświadczeń „Solidarności”. Ten ruch w 1981 roku określał wyraźnie, czego społeczeństwo nie chce. Nieliczni tylko mieli bardziej sprecyzowaną wizję przyszłości Polski, głosząc idee godności i wolności ludzkiej osoby, idee sprawiedliwości i pokoju. Stan wojenny dał okazję do skonkretyzowania tej wizji, jej „przekładu” na perspektywę całego kraju, poszczególnych powiatów i gmin, a także ruchów i związków zawodowych. Nadal jednak trzeba pogłębiać i upowszechniać program odrodzenia Polski, moralnego i ekonomicznego. Encyklika nie podaje gotowych rozwiązań problemów, przed którymi stajemy, określa jednak chrześcijańską hierarchię wartości, ukazuje ostateczny cel życia społecznego i zasadnicze warunki jego osiągnięcia. Dlatego upowszechnianie jej w Polsce jest sprawą ważną i pilną.